№ 29.

Warszawa dnia $\frac{8}{20}$ Lipca R. 1867



TYGODNIK MÓD I NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

ROGER BAKON

JEGO GENJUSZ I UWAGI NAD POSTĘPEM LUDZKOŚCI.

Jeżeli ciemnota jest nieszczęściem ludzkości, prowadzącem ją po ciernistéj drodze doświadczenia, to często i potęga myśli w pojedyńczem zamknięta człowieku, rzuca go w zapasy ze światem, w których ścigany prześladowaniem, za dobro jakie mu daje, w boleści i cierpieniu odbiera zapłatę. Jednym z takich potęg umysłowych był Roger Bakon, urodzony w Oxfordzie około roku 1214, prześladowany przez całe życie, jedynie dla tego, że genjuszem i nauką wyprzedził wiek swój przynajmniéj o lat trzy setki.

Chociaż całe życie pracował nad zniweczeniem zabobonów, naukowych błędów i poprawą urządzeń społecznych, przez ciemny ogół uważanym był za czarownika, za opętanego przez djabła i niebezpiecznego dla spokojności publicznéj człowieka. Olbrzymi jego umysł, ogarniając wszystkie gałęzie nauki, w każdéj wskazywał konieczne zmiany, a że w owym czasie metoda scholastyczna była podstawą wszelkich wykładów i opracowań naukowych, przeto uważając ją słusznie za zaporę postępu, za objaw chorobliwy umysłu ludzkiego, starał się mu nadać dawną samodzielność.

Już ta jedna okoliczność zdolną była zdruzgotać pojedynczego człowieka, ośmielającego się w brew opinji uniwerstytetów i całego uczonego świata, narzucać nowe pojęcia i wyobrażenia, do których przyjęcia ówczesne umysły nie były wcale przygotowane.

Gienjalny ten człowiek nie poprzestał na tem, ale pragnąc przeprowadzić reformę społeczną, śmiało wykazał całą szkodliwość systemu feudalnego, czem obraził nadzwyczajnie możnych baronów, — i naraził się na ich niezmordowane prześladowanie.

Od tego czasu upłynęło trzy wieki, a pokolenia ludzkie po sobie następujące, zapomniały nawet że żył kiedykolwiek Bakon, i tylko lud w okolicach Oxfordu mieszkający, powtarza jedną i tę samą piosnkę że był to wielki czarownik i astrolog. Potrzeba było trzysta lat aby umysły ludzkie dojrzawszy poczuły całą nicość scholastycyzmu, oraz potrzebę reformy naukowéj. Jak tylko prawdy te ogłosił imiennik jego Franciszek Bakon, kanclerz państwa, w dziele wydanem pod tytułem: Novum Organum, to cała inteligiencja europejska wydała oklask uwielbienia i podziwu, a nazwisko Franciszka Bakona stało się symbolem nowego wzrotu pojęć, niweczących napuszone formuły scholastyczne. W ślad za sławą biegły zaszczyty, dostojeństwa, majątek, chociaż Franciszek Bakon ściśle wziąwszy nic nowego nie zrobił, a tylko prawdy dawniéj wypowiedziane przez Rogera Bakona ogłosił w przystępniejszéj formie. Roger Bakon pomimo tak dotkliwych prześladowań nie zrażał się ale pracował daléj wytrwale, a około roku 1248 pojechał do Paryża, celem uzyskania stopnia doktora na tamtejszéj wszechnicy.

Najwyższy stopień naukowy nosił nazwę mistrza, do pozyskania jednakże téj godności należało przedewszystkiem nauczać publicznie. W Paryżu zatem po raz pierwszy począł Roger Bakon rozwijać gienjalne swoje pomysły, znajdujące nie wielkie koło zwolenników obok mnóstwa niechętnych i zaciętych przeciwników. Wkrótce jednak pojął Bakon, że nie dosyć jest stworzyć nowe pojęcia, nie dosyć je objawić światu, ale potrzeba koniecznie pozyskać *protekcją*, tak dla zabezpieczenia swéj osoby, jak i dla zyskania środków do rozszerzania w świecie nowych wyobrażeń. Król angielski, uwiadomiony o zasadach naukowych Rogera, jawnie swą niechęć do nich obja-

wiał: stolica zaś Św. Piotra przechodziła jednę z burz pojawiających się prawie perjodycznie, głowa zatem katolickiego świata, zmuszona do odpierania nieprzyjaznych pocisków. nie mogła udzielić potrzebnéj opieki uczonemu. Należało zatem zwrócić się do trzeciéj potęgi ogromnéj w owych czasach, do klasztorów przyczyniających się tak dzielnie, w wiekach średnich do ucywilizowania Europy. W owym czasie dwie reguły cieszyły się największym wpływem: Św. Franciszka i Św. Dominika. Pierwsza miała na celu rozwijać pracę, zamieniać lasy i bagna na urodzajne pola i odznaczać się pogardą dóbr ziemskich pokorą i wielką surowością obyczajów; druga zaś zwracała główną uwagę na moralny rozwój człowieka, na wykształcanie znakomitych kaznodziejów, uczonych professorów, aby dominikanie stali zawsze na czele postępu. Różne, chociaż wzajemnie dopełniające się dążności, wywołały następstwa łatwe do przewidzenia i zakonnicy reguły Św. Franciszka byli to sobie prostaczkowie nie wiele zajmujący się, nie tylko naukami świeckiemi, ale i duchownemi; Dominikanie zaś odznaczali się wielkim blaskiem naukowym, bo dosyć przypomnieć że Św. Tomasz i Albert Wielki należeli do tego zgromadzenia.

Roger Bakon sądząc że łatwiéj uzyska opiekę prostaczków wstąpił do zakonu Św. Franciszka, pewny że w jego murach uzyska bezpieczne schronienie i czas wolny do pracy. Nieszczęśliwy! pomylił się, bo w jenerale Franciszkanów i w przełożonym jednéj prowincyi, znalazł nieubłaganych przeciwników, kiedy przeciwnie Dominikanie jako zdolni ocenić gienjalne pomysły Rogera Bakona, wszędzie i zawsze starali się bronić sprawy jego.

Ten krok fałszywy pociągnął za sobą nieopisane następstwa; gdyby Roger Bakon wstąpił był do klasztoru Dominikanów, to rozwijając się swobodnie i zyskując coraz szersze koło zwolenników spowodowałby nareszcie że reforma naukowa byłaby przeprowadzoną wcześniéj o lat trzysta, co naturalnie nie pozostałoby bez wpływu na wzajemne stosunki społeczne. Ale mędr ten żyjąc ciągle w sferze myśli, łatwo zapominał o zwykłych stosunkach ludzkich, a może nawet nie miał czasu zastanowić się nad regułą zakonu, po przyobleczeniu zatem habitu, zaczął samowolnie naruszać ją, gorsząc swoich towarzyszy i przełożonych. Franciszkanie jak wiemy mieli na celu rozwijać pracę, a tymczasem on zwoływał braci, objaśniał im prawdy matematyczne, wskazywał zasady fizyki i chemji i zachęcał do rozważania rozmaitych fenomenów natury.

Z tąd naturalnie nieporozumienia i prześladowanie, bo przełożony klasztoru miał wszelkie prawo do zwrócenia jego uwagi że psuje porządek wewnętrzny, że reguła nie może być zmieniana dla jednego człowieka, że kiedy zaprzysiągł, to starać się winien o ścisłe jéj dopełnianie że w razie przeciwnym może być do tego zmuszony.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Roger Bakon rozprawy swoje przesełał rozmaitym uczonym oraz paryzkiemu uniwerstytetowi, i musiał na nie otrzymać nie zbyt pochlebne odpowiedzi, bo w dalszych swoich pracach szydzi ze współczesnych uczonych, z uniwerstytetu paryzkiego, ze zgromadzenia O. O. Franciszkanów, którym nie szczędzi wyrażeń za dobitnych i przeciwnych niezmiernie zaprzysiężonym obowiązkom pokory chrześciańskiéj.

Takie postępowanie spowodowało jenerała zakonu do napisania listu do Rogera Bakona, wprawdzie ułożonego w wyrazach łagodnych: jednakże przypominającego: że reguła św. Franciszka zaleca pokorę i ubóstwo nie tylko materjalne ale i naukowe, a w zamian zachęca do pracy fizycznéj, że zatem postępowanie przeciwne nie może być ścierpianem w klasztorze, jako uwłaczające noszonéj sukni. Rozdraźniony Roger Bakon nie zwróciwszy uwagi na zaprzysiężony obowiązek posłuszeństwa przełożonym, odpisał generałowi w sposób tak zuchwały, iż ten był pewny że brata Rogera opętał djabeł pychy, i kazał go przewieść z Oxfordu do Paryża i tam zamknąć w samotnéj celi z instrukcją ułożoną w sposób następujący:

Ma być trzymanym w zupełnem odosobnieniu od swoich przyjaciół i uczni, lecz należy zachować dla niego wszelkie względy, bo nie jest to zwykły przestępca, ale raczéj chory opętany przez djabła. Jeżeliby jednak usiłował przesłać jakie manuskrypta na zewnątrz klasztoru, w takim razie przewieźć go z celi do więzienia o chlebie i wodzie i o tem śpiesznie nas zawiadomić.

Zastanawiając się bezstronnie nad tym smutnym wypadkiem, nie wachamy się w nim obwinić samego Rogera Bakona. Popełnił bowiem dwa wielkie błędy, zdolne zwichnąć najzbawienniejsze zamiary: że żyjąc w atmosferze naukowéj nie zwracał uwagi na zwykłe warunki życia ziemskiego, i że nie umiał uzbroić się w cierpliwość i pokorę ale przeciwnie każdemu dawał poznać że jest wyższym nad swój wiek, i że pogardza współczesnym światem uczonym. Gdyby sam Roger Bakon nie lekceważył swych obowiązków, to byłby przedewszystkiem zbadał troskliwie zasady reguły św. Franciszka, a widząc niezgodność ze swojem usposobieniem wstąpiłby do zakonu O. O. Dominikanów, gdzie znalazłby pod każdym względem przychylniejsze dla siebie warunki.

Wielki jednakże ten gienjusz już i w owym czasie zyskiwał przemożnych zwolenników, a do ich liczby należy policzyć Guida Fulcodi, późniejszego papieża znanego pod nazwiskiem Klemensa IV. Dwa te umysły równéj potęgi, zdolnemi były wzajemnie się ocenić, i skutkiem tego zawiązaną była między niemi przyjaźń, utrzymująca się niezmiennie pomimo wielkiéj różnicy zajmowanych stopni w hierarchji kościelnéj. W owym jednakże czasie, wewnętrzny zarząd klasztorów był samoistnym, a potęga ich tak wielką, że nawet powaga Stolicy apostolskiéj nie była dostateczną do złagodzenia losu zakonnika, karanego za upór i nieposłuszeństwo.

Klemens IV, pomimo swéj godności, musiał przystępować z wielką ostrożnością, do dzieła mającego na celu oswobodzenie przyjaciela z więzienia klasztornego; a ponieważ nie znał całości jego prac a tylko urywkowe zarysy, przedewszystkiem zatem wezwał własnoręcznym listem *ukochanego syna* Rogera Bakona, o jak najśpieszniejsze przesłanie rękopismu. Roger Bakon nie miał nic opracowanego na piśmie, bo swoje pomysły objawiał światu ustnie, lub też w listach pisanych do rozmaitych uczonych. List

papieża nakłonił go do sformułowania wykrytych prawd, zabrał się więc do pracy, a przełożony klasztoru stosownie do instrukcji osadził go w więzieniu o chlebie i wodzie, chociaż nie tajnym był list głowy kościoła. Pomimo jednak różnych przeszkód i trudności, w roku 1267 przesłanem było papieżowi dzieło Rogera Bakona, pod tytułem: „Opus majus ad Clementem quartum.“ Następnie przesłał drugie dzieło pod tytułem: „*Opus minus* i zaczął pisać trzecie pod tytułem: „Opus tertium.“ w którem wyznaje: że poprzednie prace nie wyczerpały przedmiotu ale były to zarysy dotykające z lekka wykrytych prawd, a tem samem domagające się koniecznego uzupełnienia. Czy to dla téj przyczyny że opracowania Rogera Bakona były niejasne, czy też dla uporu generała Franciszkanów, dosyć że dopiero w r. 1287 Klemens IV wydał rozkaz wypuszczenia Bakona na wolność, a rozkaz ten był tak wyraźnym i groźnym, że przełożeni klasztorów nie śmieli się opierać, i Roger Bakon powrócił z tryumfem do Oxfordu. Długoletnie to więzienie, zamiast nauczyć go większéj przezorności napełniło tylko większą goryczą jego umysł i serce, tak że łatwo można było przewidzieć nowe starcia i jeszcze smutniejsze następstwa.

Nie zwróciwszy bowiem uwagi, że jego opiekun Klemens IV umarł, że po czteroletniem bezkrólewiu wstąpił na tron papiezki Grzegórz X, wystąpił publicznie z dziełem pod tytułem: „Compedium philosophiae“ będącem najsurowszą satyrą, już nie tylko uczonych, uniwersytetów, prawodawców i t. p. ale nadto reguły św. Franciszka, książąt panujących i samego dworu rzymskiego.

(d. c. n.).

KOCHANKOWIE Z TERUELU.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ

Juana Eugeniusza Hartzenbuscha.

PRZEŁOŻYŁ Z HISZPAŃSKIEGO

K. E.

Podając przekład dramatu, winienem zaznajomić czytelnika z osobą autora, i z tem co na polu przekładów z hiszpańskiego, w ogóle u nas zdziałano.

Biografia *Hartzenbuscha* jest krótka. Urodził się 6 Września 1806 r. w Madrycie z matki Hiszpanki, a ojca Niemca stolarza z Szwarzdorf pod Kolonią. Mając lat dwa utracił matkę, wówczas ojciec porzucił Madryt. Młody Juan Eugeniusz wrócił do stolicy w r. 1815. w celu oddania się stanowi duchownemu, w kollegium Jezuitów Św. Izydora. Nie było to powołaniem jego, co widząc ojciec pozwolił mu poświęcić się malarstwu, a zarazem kazał go uczyć po francuzku. Ten kierunek nadany nauce, wtajemniczył go w piękności klassycyzmu francuzkiéj literatury. Zdarzyło się wówczas, że książka która na całe stulecie zwichnęła polot gienjuszu scenicznego w Hiszpanii, — spowodowała obecnie ocknięcie się gienjuszu tego w *Hartzenbuschu*.

Dorwał się bowiem w r. 1821 grubéj księgi księdza *Lozady* o sztuce rymotwórczéj, księgi która romantyzmowi niegdyś zadawała ciosy. Z niéj zaczerpnął prawidła tworzenia owych nieprzeliczonych form poetycznych, któremi odznacza się poezya hiszpańska. Z zapałem rzucił się do pisania *romanzów*, *silvas*, i *liras*. W owym też czasie był pierwszy raz na widowisku scenicznem, które tak zapaliło imaginacją jego, że odtąd wyłącznie gromadził utwory teatralne i te studyował.

Na złéj był początkowo drodze, tłumaczył bowiem prozę francuzką, nie przeczuwając, że liryzm dawnego dramatu ojczystego, oczekuje wskrzesiciela. Przyjaciel zwrócił jego uwagę na ten kierunek. Zaszła atoli zmiana w jego towarzyskich stosunkach. *Pronunciamento* z r. 1820 pozbawiła ojca jego całego mienia. Prześladowany o liberatizm, stary Hartzenbusch popadł w rodzaj niedołęztwa i obłąkania. Młody Eugeniusz porzucił pracę nieprodukcyjną, bo szło o utrzymanie ojca, który zmarł w r: 1830.

Chwyciwszy za hebel nie zapomniał o scenie. Tłumaczył komedje i dramy z włoskiego i francuzkiego języka, lub zastosowywał dawne komedje hiszpańskie, do potrzeb sceny dzisiejszéj. Dwie taki przestosowane sztuki, zyskały powodzenie. Nowe *pronuncyamenta* pozbawiły go resztę mienia. Porzucił stolarstwo, oddał się stenografii. W r. 1835 został stenografem przy *Gazecie Madryckiéj*. Wówczas to napisał pół wierszem pół prozą *Kochankowie z Teruelu*, opracowawszy w nim znaną w kraju legendę.

Sztuka ta zyskała niezwyczajne powodzenie na scenie hiszpańskiéj. Dwie edycye r. 1836 i 1838 r. rozeszły się od razu. W Niemczech ukazała się r. 1846 z słownikiem objaśniającym. Krytycy przyznali mu, iż jest jednym z pisarzy najlepiéj władających językiem, który poprawił oględnie, a dramatowi nadał formę tegoczesną, odniosłszy go pomimo tego, do najświetniejszych tradycyi przeszłości.

Powodzenie to skłoniło go iż wyłącznie odtąd pracował na polu literackiem. Otrzymawszy posadę sekretarza biblioteki królewskiéj w Madrycie a w r. 1852 mianowany prezydującym rady teatrów, mógł swobodnie poświęcić się umiłowanemu zawodowi.

Żywa imaginacja, siła i energia wyrażeń i wiersz harmonijny, są cechami prac jego. Dla tych zalet, wszystkie prace jego miały powodzenie. Napisał zaś sztuki: *Donia Mencia*, drama 1838 r. *Laredoma encantada* komedja 1839. *La Visionaria* komedya 1840. *Alfonso e Casto* drama 1841. *Primero yo* drama 1842. *Honoria* drama 1842. *La Coja y et encogido* komedja 1843. *La madre de Pelayo* komedja 1843. Wydał nadto r. 1843 zbiór swoich poezyi tudzież edycye krytyczne prac scenicznych

Tirso de Molina r. 1842 w 12-stu tomach *Kalderona* r. 1851 w 4-ch tomach i *Ruiz Alarcona* r. 1852.

Hartzenbusch wskrzesił własnemi utworami zapomnianą przeszłość dramatu ojczystego, wskrzesił ją zarazem krytycznem opracowaniem prac porzedników. Należy on do tego młodego zastępu pracowników, którzy strącili z piedestału francuzki klassycyzm, którego ostatnim a potężnym wyobrazicielem, aż do wystąpienia Hartzenbuscha, był *Gil y Zarate*, autor *Grozmana*, *Blanki* i *Rozamundy*. Samobójca z miłości ku królowéj *José di Larra* († 1837 r.) autor komedyi *Precz ze sklepem* i innych, — obfity dramatyk *Breton Heweros* autor dramatu: *Umrzéj a ujrzysz* i kilkuset innych, *Saawedra* książe *de Rivas, Zorilla i Espronseda* dwaj poeci niezrównanego zapału, tworzą ów poczet pisarzy, którzy otrząsnęli się z starego naśladownictwa francuzczyzny.

Im zawdzięcza hiszpańska literatura, że dopiero w tem stuleciu nabiera tego życia i oryginalności, które ją cechowały w XVI. stuleciu.

Cały ten proces odrodzenia poezji, odbywa się w ostatnich dziesiątkach lat. Gdyby nie to, literatura hiszpańska byłaby może zapomnianą w dziejach dzisiejszego piśmiennictwa i byłaby tylko cenioną jako zabytek archeologiczny.

Naśladownictwo gubiło ją, nic więc dziwnego że pomimo wyczerpujących prac Schaka, który zapełnił trzy grube tomy rozbiorami setki znakomitych dramatyków hiszpańskich, świat literacki w Europie, znał zaledwie imiona *Cervantessa*, *Kalderona* i *Negi*, jako gwiazdy przewodnie w téj ogromnéj plejadzie poetów scenicznych, którzy wywiehli na scenę hiszpańską setkę tysięcy: *autos sacramentales*, komedji *de capa y spada, de figuron* — śpiewanych *Loas*, *entremeses*, baletniczych *Saynetes* lub nabożnych *vidas de Santos*.

Rzecz to bardzo naturalna, bo lubo mieli Hiszpanie świetne i zdumiewające obfitością talentów, stólecia — mieli i lata nieurodzaju i zupełnego upadku, tak dalece, że sami zapomnieli o przeszłości i o tradycji.

Kiedy w 17 i 18 stóleciu Francuzcy dramatycy pierwszorzędni, okradali żywcem dramat hiszpański stólecia szesnastego, ówczas w Hiszpanii pojawili się krytycy rzucający anatema na przyszłość najświetniejszą, a narzucający systematyczność francuzkich klassyków.

Ignacio de Luzan, wydał w roku 1737 *sztukę rymotwórczą* o 500 stronnicach folio, w któréj potępił *Lopego* i *Kalderona* a podniósł szkołę francuzką.

Krytyka ta wywołała smutne następstwa: Poeci sceniczni rzucili się do naśladownictwa sceny francuzkiéj, zrywając z tradycją przodków. Był ich ogromny poczet były talenta znamienite jak np. *Leandro Fernadez Moratin* († 1828) przezwany Molierem hiszpańskim, *Martinez de la Rosa* minister i inni.

Daremnie *Wicenty Garcia de la Huerta* († 1797 r.) kruszył kopie w obronie romantyzmu, i walczył przeciw *Luzanowi* dowodząc: iż można pisać w guście *Kalderona* a uniknąć jego błędów.

Jego tragedja *Rachel* przed jéj wydrukowaniem, rozeszła się w dwu tysiącach odpisów do Ameryki, mimo tego nie zwyciężyła zwolenników tragedji francuzkiéj.

Pomimo, że Ferdynand VI budując w r. 1745 i 1747 dwa stałe teatra w Madrycie, scenę przeniósł z placu pod dach —nie podniósł jéj, bo smak się popsuł.

Semiramida występowała po dawnemu, w papilotach, robronie, w rękawach z potrzebami i stanika, *Juliusz Cezar* w peruce z pakułi z wieńcem laurowym, w kapeluszu z piórami pod lewą pachą, w kamizoli, trykotach, i szpadą, *Arystoteles* jak francuzki l'abbé z peruką i pastorałem. To byli bohaterowie tragedji, królujący na miejscu fantastycznych niegdy bohaterów dramatu. Owe zepsucie formy i treści trwało do najświeższych chwil, nic więc dziwnego, ze jeszcze w r. 1838 znamienici artyści hiszpańscy grywając gościnnie w Marsylii, wystawili *Szekspira* w mundurze, przy złotych epoletach.

Krytyka obadziła się bardzo późno, oczyszczając scenę z naleciałości francuzkich, przeobraziła ją dopiero w dzisiejszych czasach. Naturalnem więc jest, iż gdy w kraju własnym teatr dawny nie uzyskał uznania przez całe stólecie, — nie uzyskał go i po za granicą półwyspu Iberyjskiego.

Kiedy dopiero Hiszpanie wejrzeli ściśléj w siebie, i obrachowali się ze skarbami przeszłości, kiedy *Fernandez Moratin* rozświecił ścieszki któremi przedzierali się dramatycy ojczyści, zanim zakończyli świetne postępy swoje wydaniem *Kalderona*, wówczas i postronni pisarze obejrzeli się na ich zasługi (*Szlegel*, *Clarus 1846*. *Schack* 1846. *Ticknor* 1849 i inni).

U nas nie widziano owego zwrotu ku téj skarbnicy poezyi: nie mamy wyobrażenia nawet o bogactwie fantazyi i o potędze gry namiętności, jaką rozwijają pisarze sceniczni hiszpańscy. Chwali się *Lope de Vega*, że wiecéj stu dzieł scenicznych pisał w dwudziestu czterech godzinach, a pomimo tego wyznania, nie widzimy w nich zużycia myśli, zużycia kombinacji scenicznéj, i owego obracania się w kółku czczéj frazeologii, które są cechą pisarzy rzemiosłowych, tworzących z dnia na dzień, na zawołanie, dla zarobku, fabrykantów produkujących wiersze w miarę i dla obrachowanéj naprzód zapłaty.

Zachwycający przekład *Słowackiego Juliusza* tragedji *Kalderona*, *Książe niezłomny*, daje nam próbkę tego, co moglibyśmy pozyskać dla naszéj literatury, gdybyśmy zajęli się poznaniem literatury hiszpańskiéj, nie w niemieckich lub francuzkich przekładach, ale w oryginale.

Wiemy zaledwie o kilku pisarzach którzy zaznajomili nas ze sceną hiszpańską. Nie wszystko doszło wiedzy publicznéj.

Roman *Osten Sacken* zmarły r. 1825 w Heidelkergu, tłumaczył Kalderona z oryginału, ale rękopisma jego zaginęły.

Kamiński Jan Nepom. który nas pierwszy zaznajomił z Szyllerem, zaznajomił i ze sceną hiszpańską, lubo tłumaczył z niemieckiego. Jego przekład *Kalderona*: „*Lekarz swojego honoru*, pomimo że stracił na przerobieniu, świeci jeszcze połyskami gienjuszu autora, i pokazuje czém jest dramat ten, w obec dzi-

siejszéj produkcyi takiéj jak: *Hernani* utworu równie znamienitego poety *Wiktora Hugo* — poety który nie jeden skarb swéj fantazyi zawdzięcza kształceniu na wzorach hiszpańskich.

Kamiński ma tę zasługę, iż hiszpańskie dramata wprowadzał na scenę polską. Nie utrzymały się na niéj dla tego, że nie były przekładem, lecz przerobieniem przeróbki niemieckiéj. Taką była komedya *Augustyna Moreto „donna Dianna* czyli *duma* i *miłość* (grana w r. 1825, 1827 i 1829, trzy razy) mimo że sztukę tę naśladowali *Molier* (księżna Elidy) *Gozzi* i *Vest*, i choć pisarza tego naśladowali inni pisarze francuzcy, włoscy i angielscy.

Jeszcze mniéj powodzenia miały, przedstawione we Lwowie sztuki *Kalderona*: *Zawiłość przypadków* i pomyłek komedya w 3-ch aktach grana 1828 r. i *Władysław królewicz polski czyli życie snem*, dramat wierszem grany r. 1826 a z którego dramatu ustęp drukował *Chłędowski A. T.* (w Rozmait. Lwows. 1827 r.) tudzież *Berwiński* (1844 r.) Również *Kamiński* przedstawił swój przekład z *Kalderona*. *Otwarta tajemnica* grane roku 1825. Podany w wyjątku (w Rozmait. Lwows. 1824 r.) a szeroce rozebrany (tamże) r. 1826.

Prace te zaginęły zapewne w rękopismach. Podobnie podali fragmenta z *Kalderona*: *Dembowski* Echo (Tygodn. liter. 1840 r.) *Wl. Wolski* (z Dramatu: *Gomez Arias*, w *Bibl. Warsz.* 1844 r.); *Leon Rettel* z Wilchelma de Castro, z tragedji *Cyd* którą okradał bez litości *Kornel*, (Przekład jednéj sceny jest w Dzienniku Domowym 1842 r.)

Całkowite drukowane przekłady dramatów mamy nader nieliczne jakoto: *Lopego de Vega* „Don Felix de Mendora kom. w akt. przekład z tłumaczenia francuzkiego.

Wilno 1800 r.—*Kalendeona*: „*Kochankowie nieba*“ tłumaczenie Kar. Balińskiego Paryż 1858. (rozbiór w *Dzienniku litė.* 1858 i w dodatku mies. *Czas* 1858 r.) *tegoż Czarnoksiężnik* dramat w 3-ch aktach, przekład *Stan. Budzińskiego* (*w Bibl. Warszawskiéj* 1861 IV).

Łatwość wyuczenia języków hiszpańskiego i portugalskiego, powinnaby zachęcić poetów naszych do zasilania imaginacyi z nieznanych nam dotąd źródeł. *Pruszakowa Seweryna* ślicznemi przekładami w *Bibl. Warsz.* umieszczonemi, czyni początek, ale to jeszcze za mało. Swietny *Espronceda* lub ognisty *Zorilla*, dostarczyliby pożywniejszego pokarmu niżeli *Heine*, *Legouvé*, *Augier*, lub *Musset*. Więcéj tam znaleźlibyśmy oryginalności, choćby już dla tego samego, że nikt tam nie był przed nami, żeśmy nie szli niewolniczo za kierunkiem przez cały poczet tłumaczy wyżłobionym.

(d. c. n.)

POGADANKA TYGODNIOWA.

Prognostyki pogody lub deszczu, z wiekowego zebrane doświadczenia, nie zawodziły nigdy: dziś wszystko dzieje się na opak.

— A Bogu dzięki — mówił pan X. oglądając się w polu na wszystkie strony i wskazując słońce prześlicznie zachodzące. Jutro będzie niezawodna pogoda. Patrz jak słońce wolno zachodzi, jakby mu żal było porzucać nasze ziemskie mrowisko: w powietrzu cisza, dym z komina pędzi w górę prościuteńko, nawet już pokazała się rosa; wszystko to zapowiada i pogodę niezawodną, z której cieszę się niewymownie, bo zbiorę koniczynę leżącą na pokosach.

Przyjrzałem się słońcu i dymowi, nadsłuchałem ciszy, spojrzałem na wsze strony nieba, rzeczywiście nadzieja pewnéj pogody, rozlana była w całem otoczeniu. Ucieszony temi niezawodnemi prognostykami, tak się rozweseliłem, że już wygłosiłem pierwszą strofkę znanéj pieśni Kochanowskiego:

> Wsi spokojna, wsi wesoła,
> Któż wychwalić cię wydoła...

Kiedy ni ztąd i z owąd, na niebie pokazała się chmurka mała, ciemna, porozdzierana na szmatki, pierzasta, z obwódką przejrzystą i jasną, jak biała koronka przy czarnéj sukience. Jednocześnie zakreślił się koło nas wietrzyk który nie wiem, czy nagle spadł czy przyczajony wyskoczył gdzie z ziemi, dosyć że poruszywszy trawy, liście i kłosy, pozrzucał nam kapelusze, poigrał niemi po ugorze, i jak szalony ukrył się w pobliskim lesie. Graby i dęby zaszumiały z dąsem na niewczesnego gościa, przerywającego im spoczynek nocny który w poważnéj ciszy i zadumie rozpoczęły. W prędce jednak i wieść o wichrze zaginęła, ale w téj chwili kiedym miał okryć głowę kapeluszem, po łysinie coś plasnęło, jak duża kropla wody spuszczona ze znacznej wysokości. Spojrzałem w niebo, chmurka była już czarna, skupiała się, wydymała lub rozszerzała, białe koronkowe obszycie wciągała w siebie robiąc je coraz węższem i coraz ciemniej-

szem. Z drugiéj strony pędziły inne równie małe, podobne do rozbrykanych rumaków z grzywami na wiatr rozpuszczonemi. Chmurka nad naszemi głowami zawieszona, poruszyła się niespokojnie, rozlała jeszcze szerzéj, wyciągnęła dwa pasma ciemne, niby ręce, do swoich towarzyszek, i odezwała się gniewliwie głuchym hukiem grzmotu.

— Oj! źle — odezwałem się do mego towarzysza, przyśpieszajmy kroku, te chmury, wcale mnie nie cieszą.

— I mnie to samo, odrzekł p. X. — wyraźnie uwzięły się na moją koniczynę.

— I na moją łysinę, bo już ze sześć kropel pacnęło mnie po niéj doskonale.

W połowie drogi do domu, deszcz rzęsisty przetrzepał nas porządnie, wchodząc jednak we wrota podwórzowe ustał zupełnie, niebo wypogodziło się prześlicznie, zabłyszczały gwiazdy, chmurki psotnice znikły bez śladu, i w nocnéj pomroce zapanowała cisza, przerywana tylko dalekiem żab rechotaniem i graniem derkacza ukrytego w pobliskiéj łące.

— A to niespodzianka — zawołał pan X. rozglądając się pilnie dokoła — mimo tego pogoda na jutro pewna. Niebo jasne, przejrzyste, a powietrze tak spokojne że możnaby świece palić bez żadnéj osłony.

— Wszystko to prawda — odrzekłam — zbytecznie jednak dowierzać nie radzę. Od pewnego czasu najprawdopodobniejsze przypuszczenia, nawet prognostyki pogody i deszczu, przez doświadczenie uznane za stanowcze i niezawodne, zawodzą, jakby chciały dać lekcją wątłości rozumu ludzkiego. Ileż podobnych wypadków mógłbym ci wyliczyć.

— Wszystko to prawda, ale na ten raz obawa twoja próżna, chyba żeby natura chciała pokazać że umie czasem grymasić. W takim razie broń składam i zapisuję się na listę wieczystych niedowiarków.

— Ha! zobaczemy, na świecie różne cuda się dzieją, ani przewidziane ani wytłumaczone.

Na drugi dzień od rana prześliczna była pogoda. Słońce zeszło wesołe, uśmiechnięte, na każdéj trawce, na każdym listku perliły się białe krople rosy i świegoliły skowronki, zachęcając piosnką do pracy i gospodarczego zabiegu.

— A cóż, czy prognostyki pogody zawiodły? — zawołał pan X. wracając z łąk od kosiarzy. Dzisiejszego dnia nie sprzedałbym za sto dukatów w czystem obrączkowem złocie.

— Bogu dzięki — odrzekłem — czas prześliczny, a na dowód że zupełnie odstąpiłem od wczorajszego niedowiarstwa, wróżę ci stałą i długą pogodę, która nie tylko koniczynę, ale nawet siano z łąk dozwoli ci sprzątnąć bez żadnéj przeszkody. Patrz jak niebo czyste i jasne. I przy tych słowach wykręciłem laską tryumfująco, podobny do czarodzieja zaklinającego niebieskie żywioły. Ale kiedym zwrócił się na prawo.

— Oj! — zawołaliśmy oba z panem X. z pewnym przestrachem i zadziwieniem — a te chmury co znaczą? Przybysze ci niespodziewani, strasznie mają podejrzaną minę. Patrz! ta większa, otoczona płateczkami ciemnemi, wygląda jak kokosz wodząca pisklęta. Przytem płynie szybko, choć cisza przy ziemi i najmniejszy nie przelatuje wietrzyk, jakiś więc gorący wiatr pędzi ją ku nam.

— Bądź spokojny, jestem pewny że się rozwieje.

W pół godziny już była nad naszemi głowami. Rozszerzając się w oczach prawie, mieniła różnemi barwami, mieszała, przewracała, i trzymając się jednego miejsca, jak motyl na szpilce trzepoczący skrzydłami, lunęła w krótce deszczem zalewając całe podwórze obfitemi potokami wody. Po deszczu tak się powietrze oziębiło, że choć to było w ostatniem dniu Czerwca, ogień na kominku zupełnie nie był zbyteczny. Po południu zaraz, powstał par nieznośny i dokuczliwe dopiekanie słońca, że ciężko było oddychać.

— Jeszcze będzie deszcz — odezwałem się do pana X., lubując się cieniem ogrodowéj altany.

— O! niezawodnie, ten par nieznośny i dokuczanie komarów, są pewnemi jego zwiastunami.

Deszczu jednak nie było, pogoda dotrwała do wieczora, ale wiatr niezmiernie majaczył i rosy nie pokazało się ani odrobinki. Pogody zatem nic na drugi dzień nie zwiastowało, pan X. się zasmucił, ja zadąsałem i w najgorszym humorze rozeszliśmy się na spoczynek. Prognostyki przeciać nie sprawdziły się, koniczyna poszła w kopki, pokopy siana poruszono, i na drugi dzień rozpoczęła się zwożba i grabienie, na pociechę całéj gospodarczéj służby.

Prognostyki więc kłamały, zwodziły nas dzień po dzień, czyż więc można im wierzyć, choć strojnym powagą doświadczenia wieków?

Ale jakże w powietrznym przestworze nie mają się dziać podobne figliki, kiedy i śpiewającym ptaszynom wyraźnie przekręciło się w głowinach. Według bowiem praw natury na dni kilka przed Swiętym Janem, połowa ptastwa zaprzestaje swoich miłych trelów, tymczasem dnia 2 Lipca słyszałem jeszcze śpiewającego w lesie słowika, a dnia szóstego kukała kukułka tak dziarsko i zawzięcie, jakby kukać miała do saméj jesieni. Wyraźnie więc coś się popsuło w przyrodzie, kiedy wszystko odstąpiło od porządku wiekami uświęconego. Kiedy to piszę Wisła pod Warszawą wystąpiła z brzegów, zalała całą Saską kępę, cześć Pragi i dolne ulice stołecznego grodu. Zapowiadają jeszcze większy przybór wody..... mój Boże! ileż to szkód doświadczają nadwiślane okolice!

Srodkiem Wisły płynie siano, koniczyna skoszona, wyrwane z korzeniami drzewa, rozbite tratwy, kloce.... aż serce się łzawi patrząc na takie zniszczenie!

KILKA USTEPÓW

Z TEOFILA GAUTIER.

W Grenadzie.

Takeś strojna z stóp do głowy —
Przy twym pasku srebrna sprzążka,
I staniczek twój różowy,
Na trzewiczku barwna wstążka.

— Wiosna w całéj swéj ozdobie,
I spłynęły z gór lawiny —
W wiejską ustroń chcę pójść sobie,
Czy zakwitły już jaśminy?

Znikł mi wiosny wdzięk i wioski,
Dla mnie jaśmin nie zakwita —
Pod ciężarem wiecznéj troski,
Smutek serce moje chwyta.

Jan Prusinowski.

O UBIORACH

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Krótkie kostiumy do wyjścia na ulicę, upowszechniły się w Paryżu, mimo że im nie zapowiadano sowitego powodzenia. W ogólności jednak Paryżanki unikają zbyt krótkich sukien: pierwsza spódniczka dotyka prawie ziemi, i zasłania nogę za kostkę. Nie mówimy tu o wyjątkach, które nie stanowią prawie w świecie mody.

Zaczniemy sprawozdanie nasze od opisu kilku świeżych kostiumów, jakieśmy w tych czasach widzieli.

Kostium spacerowy — składał się że spódniczki fularowéj, gładkiéj, w kolorze fijołkowym, na to szła spódniczka biała alpagowa, roztwarta po bokach aż do stanu, złożona z dwóch okrągłych liści; jeden tworzy przód, drugi zaś tworzy tył; — oba obszyte w koło wązką wstawką kluny, na fijołkowem podwleczeniu. Paletocik do tego odpowiedni— otwarty również po bokach, objęty w koło wstawką Z tyłu spadają lejce ze wstawek kluny na fijołkowéj wstążce. W miejscu gdzie się boki przybliżają do siebie — łączy je z sobą wstawka złożona na krzyż. Paletocik do tego odpowiedni, podcięty po bokach, objęty wstawką. Rękawy do tego podwójne — jedne fijołkowe, obcisłe, drugie otwarte białe, spadające tak długo jak paletocik, obszyte wstawką kluny!

Widzieliśmy inny kostium skromniejszy lecz niemniéj ładny, z moheru w kolorze nankinowym; — pierwsza spódniczka znacznie ciemniejsza, *marron* nie miała żadnego garnirunku. Wierzchnia spódniczka, złożona z dwóch części— roztwarta na bokach, objęta była takąż samą pliską, z ciemniejszemi wypustkami. Boki łączyły się z sobą rzędem takichże klapek — naszytych w drabinkę — na każdéj klapce szły dwa szmuklerskie małe guziki. Paletocik objęty pliską — miał boki roztwarte, spięte na klapki. Od pleców spadały lejce stósowne.

Trzeci kostium z linosu popielatego— składał się z pierwszéj spódniczki, naszytéj u dołu dwa razy wstążeczką czarną, szeroką na cal jeden — po bokach szło oprócz tego naszycie z tejże wstążki, tworzące piramidkę. Wierzchnia spódniczka podcięta po bokach, i tworząca przez to dwa zęby, ogarnirowana była wązką falbaneczką z lenosu: — falbanka z obu stron, objęta czarną plecioneczką. Paletocik podcięty po bokach, ogarnirowany również wązką falbanką, spięty był na czarne jedwabne guziki. Wzdłuż rękawów przechodziła falbanka.

Do ubrania na letni wieczorek, lub na proszony obiad — widzieliśmy bardzo ładną suknię białą muszlinową, krajaną zupełnie w kliny, to jest złożoną z dziesięciu wązkich klinów. Pomiędzy klinami przechodziła wstawka kluny, szeroka zaledwie na palec. U dołu zdobił suknię wolant półłokciowy, zakończony wstawką i koronką u brzegu, nad wolantem szła także wstawka. Stanik cały składał się z pasków muszlinowych i wstawek kluny, naszytych w podłuż. Rękawy do tego odpowiednie. Suknia ta dana była na różowym muszlinie. Szarfa różowa z szerokiemi końcami, dopełniała ubrania.

Zwróciła też uwagę naszą śliczna suknia muszlinkowa biała, w rzucane bukiety bzu lilla. Suknia ta płaska z przodu, przzmarszczana w tyle, nie miała żadnego garnirunku. Staniczek mocno wycięty kwadratowy bez rękawów, lekko marszczony, kładł się na koszulkę muszlinową, przeszywaną wstawkami kluny. Główną ozdobę ubrania stanowiła szeroka szarfa lilla, przewiązana z tyłu na wielką kokardę.

Szarfy czarne, szerokie, przyozdobione na końcach wielkim bukietem z kłosów, maczków i bławatków, należą w tym roku do najmodniejszych. U dołu zakończa je frendzla.

Na zarzucenie do letniego ubrania, używane bardzo rogówki z koronki Chantilly, lub też z wełnianéj Lamy, noszą także rogówki białe z koronki wełnianéj Yack. W sposobie noszenia tychże rogówek zaszła w tym roku zmiana. Paryżanki obracają je zębem w górę; ów ząb wykłada się potem tworząc kołnierz,

i tak obrócona chustka spina się z przodu broszą w środku stanika: dwa rogi rozchodząc się na bok przypominają peplum.

Z tyłu zaś chustka tworzy szalik sięgający trochę, poniżéj stanu.

Przechodzimy teraz od strojów do praktycznéj części ubrania. Powiemy zatem, że Paryżanki, wyjeżdżające do wód lub na wieś, zaopatrują się wszystkie w wielkie płaszcze angielskie zwane *imperméable* to jest nie przepuszczające wody. Mnóstwo takich płaszczyków widzimy po magazynach paryzkich. Wszystkie mają kapturek do zarzucenia na głowę, niektóre zaś mają rękawy średniéj szerokości przyciągnięte u ręki elestyką. Te są najwygodniejsze, gdyż się nie otwierają, za poruszeniem ręki. Płaszcze te robią z tkaniny popielatéj lub brązowéj, niektóre bywają w paski w dwóch odcieniach, szerokie na palec. Spinają się zwykle do dołu, na rząd rogowych guzików.

Obok takiego płaszcza, każda Paryżanka przysposabia na drogę kapelusik okrągły ceratowy, przepasany kolorową wstążeczką i parasolik z szarego płótna, podbity zielonym lub szafirowym fularem.

Kostiumy z płócienka wyrabianego w Vichy przyjęte dziś powszechnie do podróży. Wprawdzie nie są tak ładne jak kostiumy alpagowe, ale je łatwiéj wyprać i odświeżać można. Płócienka Vichy, nie różnią się w niczem od naszych gromanowskich.

S. z Ż. D.

Symbolika kwiatów i roślin ozdobnych.

(Dalszy ciąg.)

Bluszcz jako roślina wspinająca się po drzewach, głazach i murach, i tam się zakorzeniająca, symbolizuje także stałe przywiązanie i przyjaźń lub miłość małżeńską. We Włoszech często widzieć można pomniki przyjaźni, wspomnień lub i nagrobki, przedstawiające drzewo bluszczem opięte, z napisem: *se no la vida porque la muerte* (jak za życia tak i po śmierci). Nagrobki w kształcie drzewa złamanego, bluszczem okryte, można i na naszych cmentarzach napotykać.

4. *Bławatek.* (Bluet ou Barbeau, Centaurea Cyanus), nader pospolity kwiat błękitny rosnąc po polach zbożem zasianych, zwany także w niektórych okolicach kraju naszego *modrakiem* chabrkiem lub *wasilkiem* (u rusinów), jest symbolem czystego i niewinnego uczucia, jak czystą i pełną życia jest jego barwa.

Bławatek sprawia na umyśle ludzkim wrażenie wesołości, swobody i niejakiego szczęścia, a lud nasz doskonale widzi to wszystko w bławatku, bo młode i swobodne jeszcze dziewczęta wiejskie, lubią się przyozdabiać wieńcami z bławatków.

Wieńcami temi, zdobią także obrazy obnoszone na processyjach kościelnych, co również mocno przemawia do uczucia ludzkiego; kiedy znów dzieci przewodniczącemu księdzu w czasie uroczystego pochodu Bożego Ciała, rzucają pod nogi zazwyczaj listki z oskubanych kwiatków, najczęściéj z bławatka, róży i piwonii.

(d. c. n.)

OPIS RYCINY KOLOROWANEJ.

Figura 1. Spódniczka fularowa jasno fijołkowa, przybrana pliskami atłasowemi, gładko i w kwadraciki (losanges). Na to krótka suknia podniesiona szarfami; szarfy te naszyte pliskami atłasowemi i kwadratami, paletocik odpowiedni. Kapelusz z białej krepy, otoczony w koło drobnemi kwiatkami fijołkowemi i grelotkami z białych pereł. Szarfy krepowe spięte pod brodą broszką z fijołkowych kwiatów. Parosolka fijołkowa podbita białą materją.

Figura 2. Suknia Gabrjela jedwabna, gładka, w kolorze dzikim. U dołu wolant fałdowany, wycięty z obu stron w ząbki. Główka u wolanta oddzielona pasmanterją, przerabianą białemi perłami, przód cały od góry do dołu spięty na wielkie guziki jedwabne. Na staniku frendzla przerabiana perłami, oznacza kwadratową bertę. Powyżej berty naszyty rzucik z białych perełek, kapelusz słomkowy, przystrojony wieńcem z piórek niebieskich i takąż wstążką.



Panu. W. Le. w Diebio: flet—harmonica o 4 oktawach kosztuje rs. 55. bez opakowania i opłaty pocztowéj.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka kolorowana.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.

(Dodatek.)

Dodatek do Nr. 29 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 8 (20) Lipca 1867 r.

DANIEL ROCK

POWIEŚĆ,

Z FRANCUZKIEGO

PRZEZ

ERKMANA-CHATRIANA.

(Dokończenie).

Wybiegła nakoniec — wyrzucając pod obłoki kłęby białego dymu, mknąc lotem błyskawicy.

Nigdy... nigdy podobny obraz, nie pojawił się oczom widzów, każdy mógł w téj chwili wyrzec z chlubą:

„Jam człowiek... podobni mnie to wykonali!

Na lokomotywie stali inżenierowie drogi żelaznéj; pan Horacy — pan Cypryan Anatol i inni.

Chlubili się z dzieła własnego, i zaprawdę mieli do tego prawo. Patrząc na te doliny, zasłane tysiącami głów zdumionych, jak liśćmi w lesie, kłaniali się obecnym. Z tysiąca piersi wyszedł okrzyk uwielbienia; lecz poświst i turkot pociągu — wszystko zgłuszył.

W chwili gdy lokomotywa okrążywszy półkole nad doliną, miała wbiedz do drugiego tunelu, który przecinał górę zawaloną gruzami Felzenburgskiego zamczyska, pan Horacy zbladł jak trup... włosy dębem stanęły mu na głowie... wyciagnął obie ręce — jakby wskazywał jakiś przedmiot.

Tłum zadrżał... oczy wszystkich zwróciły się w danym kierunku.

Z głębi czarnego sklepienia, wystąpił na światło stary Daniel z synami. Każdy z nich trzymał w ręku ogromny oszczep.

Lokomotywa pędziła ku nim jak wicher. Jeszcze pół minuty a po ich ciałach — miała pomknąć w głąb góry.

Stary kowal stał w pośrodku dwóch synów, z głową podniesioną, z olbrzymim oszczepem w prawicy. Zmarszczył brwi — zacisnął mocno szczękę; wielki nos zagięty ku ustom, jak dziób orła, groźną nadawał mu postać. Patrzał na lokomotywę wzrokiem wyzywającym. Oczy jego mówiły:

Stój — nie pójdziesz daléj!

Wspaniała była postać starca.

Krystjan i Kacper stali obaj przy ojcu — z szyją obnażoną — z piersią gołą... nieruchomi jak posągi wykute z kamienia, nagle pochylili się wszyscy trzéj, końce oszczepów głęboko zaryli w ziemię.

Tłum zadrżał zdjęty przerażeniem.

Za późno już było aby wstrzymać machinę... Dlatego to pan Horacy, w obawie aby pociąg nie wyskoczył z szyn, z czego okropne wynikłyby następstwa — zawołał grzmiącym głosem:

„Dodać pary!“

I w mgnieniu oka, lokomotywa pokryła się białym obłokiem i z przeraźliwym świstem, zanurzyła się w głębi tunelu. Gdy znikła, oczy wszystkich zwróciły się w miejsce gdzie przed chwilą stał Daniel Rock z synami. Pusto było w tem miejscu. Koła machiny starły ciała na miazgę — zdruzgotały olbrzymie oszczepy, i toczyły się pod górę, coraz daléj a daléj.

Oblicza widzów trupią pokryły się bladością. Jedni na drugich spoglądali w milczeniu.

— Takto myśl zwycięża materją! — powtarzały liczne głosy — nic zaprawdę powstrzymać jéj nie zdoła... ni siła — ni bohaterska dzielność! Trzeba iść z nią... lub umrzeć.

Eljasz Blumm posłyszał te słowa.

Tak panowie rzekł — sprawiedliwie mówicie, lepiéj być na wozie niż pod kołami.

XXI.

W tydzień po tym nadzwyczajnym wypadku, pan Horacy i inni inżenierowie, wyprawili drogą żelazną swoje sprzęty i narzędzia matematyczne.

Pogrzebano ciała Rocka i synów jego w sklepieniach zamku Felzenburgskiego. Taka była wola Teresy.

Te sklepienia poświęcone niegdyś przez Biskupów z Metz i Trewiru, mogły być uważane jako ziemia święta.

Tegoż wieczoru, po smutnym obrzędzie pogrzebowym, Fuldrata opuściła starą basztę... nikt nie wiedział co się z nią stało — dopiero w parę dni potem leśniczy Sperwer, wracając ze Schunberga, opowiadał, iż w niedostępnych zaroślach, napotkał starą czarownicę; trzymała pod pachą księgę odwiecznych kronik; szła po mału ku zwaliskom Nidzku — dwie chude kozy postępowały za nią.

Opuszczając Felzenburg pan Horacy, odwiedził władze miejscowe — między innemi, pana Zacharjasza Piper i plebana Niklaus.

Poczciwy pleban przechadzał się właśnie po ogródku. Na widok wchodzącego inżyniera, zamknął brewiarz, postąpił naprzód kilka kroków.

— Pan jak widzę, rzekł, przychodzisz do mnie z pożegnaniem?

— Tak jest księże plebanie — oddalam się już z Felzenburga.

Weszli do altany obsadzonéj bluszczem i kaprifolią, zasiedli na ławeczce i poczęli rozmawiać o wielkich zmianach, jakie, od pięciu lat zaszły w okolicy.

— Oj tak, mówił ojciec Niklaus — piękne to rzeczy! te wasze drogi żelazne, i machiny wszelkiego rodzaju; ale gdzież się podziewają dawne obyczaje i poczciwe tradycje dawnych wieków, poszanowanie starości, wiara w wiekuiste prawdy świętéj religji, pokora serc, i prostota wiary? Wszystko zaciera się, wszystko tonie w nicestwie. Dawna gościnność, owa gościnność tradycyjna, tak zgodna z charakterem górali, która stanowiła niegdyś prawdziwy urok naszych lasów, owa nawet gościnność poczyna znikać coraz bardziéj... wszystko dziś oblicza się na pieniądze. Ach! panie naczelniku, wasza cywilizacja ma też odwrotną stronę.

Tak utyskiwał zacny pleban. Pan Horacy słuchał go z uśmiechem, nie przerywając mu, gdyż ojciec lubił prawić jednym tchem jak z ambony.

Umilkł nakoniec pleban, wypowiedziawszy całą myśl swoją.

— Wszystko to, szanowny panie, prawda niezaprzeczona, rzekł inżenier. Dzisiejsi ludzie nie zachowali wyobrażeń XV wieku, ale wszakże i Hugo Kapet nie żył myślą Klowiza, a Ludwik święty nie żył myślą Hugona Kapeta. Każdy z tych wielkich mężów przedstawiał ideję wieku swego, gdyby inaczéj było, nie byliby zaprawdę tak wielkiemi, i każden z nich, zamiast posługiwać ludzkości, byłby się stał jéj biczem. Chcieć utrzymać gwałtem wyobrażenia innéj epoki, to wielka niedorzeczność: Kurczę nie zmieni się już w jaje, lubo z niego wzięło początek. Można żałować starodawnych obyczajów i odwiecznych podań, tak pełnych prawdziwéj poezji... ale gdyby ci ludzie którzy niegdyś żyli pod Hugonem jednookim, gdyby ci ludzie powstali dziś zgrobu, wspominając plewę którą mięszali do chleba, przyznaliby sami, że los najnędzniejszego z robotników dzisiejszych, godzien zazdrości w porównaniu z ich losem. Zważcie tylko, ojcze plebanie, że we wszystkich starożytnych modlitwach, znjdujemy ten ustęp: „zachowaj nas Panie od głodu!“ Ileż to łez — ile boleści i rozpaczy, zawarto w owych kilku słowach. Oh! biedni praojcowie nasi! ileż oni wycierpieli pod Luitprandem Bartoldem, i tylu im podobnym. Dla nas to, ich potomków, Bóg dopiero wysłuchał pokorną ich modlitwę.

Słowa te uderzyły zacnego plebana — tak że nie wiedział jak na nie odpowiedzieć — spojrzał tylko w brewiarz i westchnął głęboko.

— Takie moje zdanie o dawnych obyczajach, dorzucił pan Horacy, a to zdanie, na tem właśnie opieram, że nie widzę najmniejszych śladów instytucji z XII. wieku, któreby zapobiegły nędzy ogólnéj.

Co się tyczy pary i dróg żelaznych, i tych wszystkich wynalazków, nad którémi utyskujesz tak zacny ojcze, stanowią one nieśmiertelną chwałę wieku naszego, i przyczynią się do szczęścia naszych dzieci.

Wiele mówią, i słusznie, o męczennikach za naszą świętą wiarę pod Djoklecjanem; ale zastanówcie się dobrze, ojcze plebanie, że i nauka liczy tysiące ofiar swoich... że dziś wydaje jeszcze ludzi, którzy cierpią bez sarkania, i umierają szczęśliwi że spełnili powinność!... Machina parowa liczy kilka takich:.. Salomona Caus, Papina, Watta, Fultona. Dziś myśli człowieka, wyrosły w żelazne ręce, które dniem i nocą pracują bez spoczynku, i nogi które przebiegają dziesięć mil na godzinę. Wynalazca jednak umarł w nędzy. Mógłbym naliczyć wielu podobnych. I ci jak dawni męczęnicy zachowali całą prostotę wiary w obec prześladowania.

— Kochali chwałę -- odrzekł ojciec Niklaus — byli męczęnikami pychy własnéj.

— Przebacz mi, ojcze plebanie — ależ Mojżesz, święty Ludwik i Bosuet, kochali także chwałę. Podziwiam i wielbię bohaterską odwagę starego Daniela Rock — piękny to był charakter... Ludzie głębokiego przekonania tak powinni do walki występować: z głową podniesioną —z roszczepem w ręku, z piersią otwartą na pociski! Dzielny Rock wojował do ostatka; idea nowoczesna którą wyzwał w zapasy, przygniotła go swoim brzemieniem; — upadł, lecz wytrwałość z jaką walczył zasługuję zaprawdę na szacunek.

Rzekłszy te słowa, powstał inżenier, ksiądz pleban oddał mu pokłon, i odprowadził aż do furtki ogródkowéj. Rozeszli się obojętnie — ojciec Niklaus otworzył znowu brewiarz — i odmawiał przerwane na chwilę modlitwy.

KONIEC.

WYJĄTEK Z LISTU

BERNARDA TASSA,

ojca sławnego poety włoskiego Torquata, pisany do swej żony, o wychowaniu dzieci,

w roku 1547.

Ażeby zadowolnić gorące życzenia, jakie czujemy oboje, pragnąłbym w tych wierszach przesłać ci nietylko moją duszę, ale całą moją osobę; oby ci ta chęć moja wystarczyła, skoro urzeczywistnienie jéj jest niepodobnem! Bądź przekonaną przynajmniéj, że wszystkie moje myśli, wszystkie uczucia, krążą bezustannie około tych miejsc, które zamieszkujesz; jeżeli robisz podobnie, jestem pewny, że się one spotkają gdzieś w przestrzeni, która nas rozłącza. Wiem że moja nieobecność cię trapi i przyczynia przykrości, i ja głęboko czuję smutek który trawi twoje serce. Pokładam jednak ufność w Bogu i religii, jakiéj masz w sobie niewyczerpane zasoby, że zniesiesz wszelkie przykrości z chrześciańską odwagą. Nie chcę i nie mogę oznaczyć ci czasu powrotu, gdyż zależy on od obcéj woli a nie od mego postanowienia, zresztą im mniéj będzie spodziewany i oczekiwany, tem dla nas będzie słodszy. W przypadku jednak, gdyby się podobało Bogu zatrzymać mnie tu dłużéj chcę ci wskazać zasady, według których powinnaś wychować nasze kochane dzieci, ażeby mogły kiedyś pokazać światu, żeśmy im dali czułą i rozsądną opiekę, nam pociechę a im zaszczyt przynoszącą.

Przesyłam ci więc niektóre prawidła czerpane z pism starożytnych i nowoczesnych filozofów, abyś te rozumne zasady zaszczepiła w nasze dzieci — i ażeby nasza starość uszanowana, wypoczęła kiedyś pod cieniem cnót tych młodych latorośli.

— Wychowanie, składa się z dwóch najważniejszych pierwiastków: ukształcenia moralnego i ukształcenia umysłowego — pierwsze jest obowiązkiem ojca i matki, drugie należy tylko do ojca. Nie będę ci więc mówił o drugiem, tylko o ukształceniu moralnem, ponieważ, jeżeli mi Bóg użyczy zdrowia, zostawiam sobie wychowanie umysłowe naszego Torquata, którego młodość nie zniesłaby jeszcze teraz jarzma karności. Mówię Ci bowiem, jeżeli tylko miłość ojcowska mnie nie zaślepia, że skoro Najwyższy dał nam dzieci dość szczęśliwie uposażone fizycznie i moralnie, tem samem już upominają się one o doskonalenie tych darów przyrodzonych, tem więcéj, gdy grunt, jest wdzięczny i obfity plon obiecujący. Jak nie ma umysłu tak źle usposobionego od natury, któregoby nie można uszlachetnić przez dobrze prowadzone wychowanie, tak znowu nie ma tak szczęśliwie obdarzonego, któregoby wadliwe kształcenie nie mogło zepsuć lub zwichnąć.

Przyzwyczajenie jest drugą naturą. Młode drzewko prostowane ciągle, kończy swój wzrost przez wzniesienie wierzchołka ku niebu. Widzimy litery wyryte na korze młodéj, rosnące i powiększające się z pniem razem. Tak jak nauki i przykłady cnoty, wkorzeniają się w duszę dziecka, że żaden wpływ obcy nie może ich zniszczyć, tak również nieszczęśliwie działają zgubne wrażenia odebrane w dzieciństwie. Nasza mała Kornelja, która wstępuje w wiek młodzieńczy, rośnie w oczach, jéj umysł rozwija się z dnia na dzień, już tam można złożyć szacowny zasiew, a nie masz szacowniejszego i wdzięczniejszego jak religja. Wyryj więc na tej młodéj duszy imię Boga, wyciśnij na niéj swoją miłość,— niech się nauczy czcić Tego od którego nie tylko otrzymała życie, lecz jeszcze zyskać ma to wszystko co czyni człowieka prawdziwie szczęśliwym, na ziemi i w niebie. Usiłuj także zaszczepiać w nią bojaźń Boga, ale nie tę bojaźń trwożliwą, która się nie podoba Majestatowi Boskiemu, lecz tę bojaźń szlachetną i świętą, która się ściśle łączy z miłością, aby być z nią nierozdzielną, i która, przez swoje z nią zjednoczenie, stanowi religją.

Podobnie jak cień nie przeszkadza wschodzeniu chwastu, lecz przeszkadza dojrzewaniu owocu, tak religja tłumi rodzenie się początku złego i nie dozwala mu dojść do dojrzałości. Czystość duszy, która jest owocem, rozlewa światło, rozweselające oczy zarówno mądrego jak i bezrozumnego.

— Są dwa sposoby nauczania: przez naukę i przez przykład. Oko przewyższa ucho w szybkości pojmowania, skoro więc dostało od natury tę zdolność najwyższą, potrzeba, jeżeli chcesz wychować Twoje dzieci w taki sposób, aby zyskały uznanie zacnych ludzi, niech ich oczy widzą cię zawsze taką, jak sobie właśnie życzysz, by one pokazywały się innym. Mów im więcéj czynami jak słowami, bo jeżeli im chcesz przepisać prawidła których nie trzymasz się sama, będzie to pogobnie jakbyś chciała wskazać im dobrą drogę, sama złą postępując. Jeżeli rodzice chcą wywierać zbawienny wpływ na swoje dzieci, trzeba, aby okazywali się słodkiemi i łagodnemi, i ażeby wlewali własne cnoty, jako napój szacowny, przez zmysły w duszę dziecka, starając się złączyć z niem całkowicie. Skoro bowiem dziecko zastanawiać się zaczyna, zwraca zaraz uwagę na ojca i matkę, i dostrzega okiem i uchem najdrobniejsze ich czynności. Uwielbienie cnót ojca, jest potężną podnietą, która prowadzi umysł dziecka śladem jakim jego ojciec postępował.

Przedewszystkiem dawaj baczenie na swoich domowników, ażeby dzieci twoje nie słyszały nigdy wychodzącego z ich ust gminnego i nieobyczajnego słowa ażeby ich uwaga nie była nigdy uderzoną, przez jakiś ruch nieprzyzwoity. Trzymaj ich przy sobie i nauczaj je stawiać pierwsze kroki, wymawiać pierwsze słowa, nie pozwól im przestąpić progu domu gdzieby ich oczy niewinne narażone i skalane być mogły widokiem dzieci źle wychowanych. Chroń się błędu, popełnianego przez matki zbyt pobłażające, które nie pozwalaja się sprzeciwiać woli dziecinnéj, i które wymagają od drugich téj saméj słabości w tym względzie. Dzieci ich zostają niewolnikami ich własnych dziwactw. Nie chcę przez to powiedzieć, abyś się udawała do gwałtownych środków przymusu, przeciwnie, ganię rodziców którzy używają kary cielesnéj, prawie tak dalece jak tych którzy podnoszą rękę przeciwko obrazowi Boga. Nie bojaźń to ani chłosta, zaszczepiają cnotę w duszy, trzeba tu jak we wszystkich podobnych zda-

rzeniach, starać się obrać drogę pośrednią, jako najwłaściwszą.

Jeżeli dzieci popełnią błąd, następstwo nieuchronne ułomność naszéj natury, zamknij oczy na ich wykroczenie, wrazie, gdy ono będzie mało znaczące. Pobłażanie w tym wypadku, będzie lepsze jak surowość. Jeżeli błąd jest ważny, wtedy, nie obawiaj się rozwinąć zbawiennéj i nieugiętéj energii. Czyń to samo względem twoich służących, skoro się okażą winnymi, aby dziecko, widząc karane w drugich uchybienie jakie samo popełnia, przekonało się że straci naszą i drugich miłość, gdy się nie oprze swojéj zgubnéj skłonności. Chciałbym tu dodać, wiele innych jeszcze uwag, lecz się obawiam, aby mnożąc takowe, nie spowodować zamieszania w twoim umyśle, zwłaszcza, iż poruszyłem wszystkie kwestje najważniejsze, i że brak wszelki sama dopełnić potrafisz.

O ile zachowuję sobie staranie kierowania wykształceniem Torquata, skoro tylko jego wiek na to pozwoli, o tyle znowu zostawiam twojemu ocenieniu, wybór zajęć Kornelii. Wiem naprzód że dopełnisz swojego obowiązku w pielęgnowaniu jéj, jak nikt w świecie.

Bądź zdrowa! oby pociecha jakiéj ci dadzą kosztować nasze dzieci, uprzyjemniała tęsknotę sprawioną przez nieobecność twojego męża.

K. U.

DO........

Lubię oddychać słodką wonią kwiatów,
Co zdobią sploty twych ciemnych warkoczy,
Lubię tę rozkosz co leją twe oczy,
Unosząc duszę w sferę rajskich światów.

Lubię twój uśmiech i ręki ściśnienie,
Co darzy czasem kochanków pieszczota,
Których dnie szczęścia związała nić złota;
Lubię łzę w oku na drugich cierpienia.

Lecz drżę z bojaźni, kiedy w lekkim skoku,
Zdajesz się stopą nad ziemię unosić,
Myślę żeś Anioł, i chciałbym cię prosić,
Chciałbym Cię wstrzymać byś nie znikła oku.

Witold Chłopicki.



A. Lacourière Sc. Moine et Falconer imp. r. S.t Louis en l'Ile, 90 Paris 235

TYGODNIK MÓD

w Warszawie